



Bolesław Prus
(1847 — 1912)

Faraon (1895)

W północno-wschodnim kącie Afryki leży Egipt, ojczyzna najstarszej cywilizacji w świecie. Przed trzema, czterema, a nawet pięcioma tysiącami lat, kiedy w środkowej Europie odziani w surowe skóry barbarzyńcy kryli się po jaskiniach, Egipt — już posiadał wysoką organizację społeczną, rolnictwo, rzemiosła i literaturę. Nade wszystko zaś wykonywał olbrzymie prace inżynierskie i wznosił kolosalne budowle, których szczątki budzą podziw w technikach nowożytnych.

Egipt — jest to żyzny wąwóz między pustynią Libijską i Arabską. Głębokość jego wynosi kilkaset metrów, długość sto trzydzieści mil, średnia szerokość zaledwo milę. Od zachodu — łagodne, ale nagie wzgórza libijskie, od wschodu strome i popękane skały arabskie są ścianami tego korytarza, którego dnem płynie rzeka — Nil.

Z biegiem rzeki, na północ, ściany wąwozu zniżają się, a w odległości dwudziestu pięciu mil od Morza Śródziemnego nagle rozchodzą się, i Nil, zamiast płynąć ciasnym korytarzem, rozlewa się kilkoma ramionami po obszernej równinie mającej kształt trójkąta. Trójkąt ten, zwany Deltą Nilową, ma za podstawę brzeg Morza Śródziemnego, zaś u wierzchołka, przy wyjściu rzeki z wąwozu, miasto Kair tudzież gruzy przedwiekowej stolicy, Memfis.

Gdyby kto mógł wznieść się o dwadzieścia mil w górę i stamtąd spojrzeć na Egipt, zobaczyłby dziwną formę kraju i osobliwe zmiany jego koloru. Z tej wysokości, na tle białych i pomarańczowych piasków, Egipt wyglądałby jak wąż, który w energicznych skrętach posuwa się przez pustynię do Morza Śródziemnego i — już zanurzył w nim trójkątną głowę, ozdobioną dwójgim oczu: lewym — Aleksandrią, prawym — Damiettą.

Długi ten wąż w październiku, kiedy Nil zalewa cały Egipt, miałby błękitną barwę wody. W lutym, kiedy miejsce opadających wód zajmuje wiosenna roślinność, wąż byłby zielony, z błękitną pręgą wzdłuż ciała i mnóstwem błękitnych żyłek na głowie, z powodu kanałów, które przecinają Deltę. W marcu błękitna pręga zwęziłaby się, a ciało węża, skutkiem dojrzewania zbóż, przybrałoby kolor złoty.

Wreszcie w początkach czerwca Nilowa pręga byłaby bardzo cienka, a ciało węża zrobiłoby się szare, jakby przysłonięte krepą skutkiem suszy i pyłu.

Zasadniczą właściwością klimatu egipskiego jest upał: w styczniu bywa dziesięć stopni ciepła, w sierpniu dwadzieścia siedem; niekiedy gorąco sięga czterdziestu siedmiu stopni, co u nas odpowiada temperaturze rzymskiej łaźni. Nadto — w sąsiedztwie Morza Śródziemnego, nad Deltą, deszcz pada ledwie dziesięć razy na rok, zaś w Górnym Egipcie raz na dziesięć lat.

W tych warunkach Egipt, zamiast kolebką cywilizacji, byłby pustynnym wąwozem, jakich pełno wśród Sahary, gdyby co roku nie wskrzeszały go wody świętej rzeki Nilu. Od końca czerwca do końca września Nil przybiera i zalewa prawie cały Egipt; od końca października do końca maja roku następnego opada i stopniowo odsłania coraz niższe płaty gruntu. Wody rzeki są tak przesycone mineralnymi i organicznymi szczątkami, że kolor ich staje się brunatnawym, więc w miarę opadania wód na zalanych gruntach osadza się muł żyzny, który zastępuje najlepsze nawozy. Ten muł i gorący klimat sprawia, że Egipcjanin, zamknięty między pustyniami, może mieć trzy zbiory w ciągu roku i około trzystu ziarn z jednego ziarna zasiewu!

Ale Egipt nie jest jednostajną płaszczyzną, lecz krajem falistym; niektóre jego grunta tylko przez dwa lub trzy miesiące piją błogosławione wody, inne nie widzą jej przez cały rok; wylew bowiem nie dosięga pewnych punktów. Niezależnie od tego — trafiają się lata małych przyborów, a wówczas część Egiptu nie otrzymuje zapładniającego mułu. Nareszcie, skutkiem upałów, ziemia prędko wysycha i trzeba ją zlewać jak w doniczkach.

Wszystkie te okoliczności sprawiły, że naród zamieszkujący dolinę Nilu musiał albo zginąć, jeżeli był słabym, albo uregulować wody, jeżeli posiadał geniusz. Starożytni Egipcjanie mieli geniusz, więc stworzyli cywilizację.

Już przed sześcioma tysiącami lat spostrzegli, że Nil przybiera, gdy słońce ukazuje się pod gwiazdą Syriuszem, a zaczyna opadać, gdy słońce zbliża się do gwiazdozbioru Wagi. Spostrzeżenia te popchnęły ich do obserwacji astronomicznych i mierzenia czasu.

Aby zachować wodę przez cały rok, wykopali w swoim kraju długą na kilka tysięcy mil sieć kanałów. Aby zaś ubezpieczyć się od nadmiernych wylewów, wznosili potężne tamy i kopali zbiorniki, spomiędzy których sztuczne jezioro Moeris zajmowało trzysta kilometrów kwadratowych powierzchni, przy dwunastu piętrach głębokości. Nareszcie wzdłuż Nilu i kanałów pobudowali mnóstwo prostych, ale skutecznych machin hydraulicznych, za pomocą których można było czerpać wodę i wylewać ją na pola położone o jedno lub dwa piętra wyżej. I jeszcze, jako dopełnienie wszystkiego, trzeba było co roku oczyszczać zamulone kanały, poprawiać tamy i budować wysoko położone drogi dla wojsk, które w każdej porze musiały odbywać marsze.

Te olbrzymie prace wymagały, obok wiadomości z astronomii, miernictwa, mechaniki i budownictwa — jeszcze doskonalszej organizacji. Czy to umocnienie grobli, czy oczyszczenie kanałów musiało być robione i zrobione w pewnym czasie, na wielkiej przestrzeni. Stąd powstała konieczność utworzenia armii robotniczej, liczącej dziesiątki tysięcy głów, działającej w oznaczonym celu i pod jednym kierunkiem. Armii, która musiała mieć mnóstwo małych i wielkich dowódców, mnóstwo oddziałów wykonywających rozmaite prace, skierowane do jednolitego rezultatu, armii, która potrzebowała wiele żywności, środków i sił pomocniczych.

Egipt zdobył się na taką armię pracowników i jej zawdzięcza swoje wiekopomne dzieła. Zdaje się, że stworzyli ją, a następnie nakreślali jej plany — kapłani, czyli mędrcy egipscy; rozkazywali zaś królowie, czyli faraonowie. Skutkiem tego naród egipski w czasach wielkości tworzył jakby jedną osobę, w której stan kapłański odegrywał rolę myśli, faraon był wolą, lud — ciałem, a posłuszeństwo — cemen-tem.

Tym sposobem sama przyroda Egiptu, domagająca się wielkiej, ciągłej i porządnej roboty, stworzyła szkielet społecznej organizacji tego kraju: lud pracował, faraon kierował, kapłani układali plany. I jak długo te trzy czynniki dążyły zgodnie do celów wskazanych przez naturę, tak długo społeczność mogła kwitnąć i dokonywać swoich dzieł wiecznotrwałych.

[...]

Granicę ziemi Gosen i pustyni stanowiły dwie drogi komunikacyjne. Jedną był kanał transportowy od Memfis do jeziora Timsah, drugą — szosa. Kanał znajdował się jeszcze w ziemi Gosen, szosa już w pustyni, którą obie drogi otaczały półkolem. Z szosy prawie na całej przestrzeni widać było kanał.

Niezależnie od sztucznych granic sąsiadujące krainy różniły się pod każdym względem. Ziemia Gosen pomimo falistości gruntu wydawała się równiną, pustynię zaś składały wapienne wzgórza i doliny piaszczyste. Ziemia Gosen wyglądała jak olbrzymia szachownica, której zielone i żółte polećka odgraniczały się barwą zbóż i palmami rosnącymi na miedzach; zaś na rudym piasku pustyni i jej białych wzgórzach płat zieloności albo kępa drzew i krzaków wyglądały jak zabłąkany podróżny.

Na południej ziemi Gosen z każdego pagórka tryskał ciemny gaj akacji, sykomorów i tamaryndusów, z daleka przypominających nasze lipy, wśród których kryły się pałacyki z rzędami przysadzistych kolumn albo żółte lepianki chłopów. Niekiedy obok gaju bieleło się miasteczko z domami o płaskich dachach albo ponad drzewa ciężko wznosiły się piramidalne bramy świątyni, niby podwójne skały, upstrzone dziwnymi znakami.

W pustyni, spoza pierwszego szeregu trochę zielonych pagórków, wyzierały nagie wzgórza, zasłane stertami głazów. Zdawało się, że przesycony nadmiarem życia kraj zachodni z królewską hojnością rzuca na drugą stronę kanału zieleń i kwiaty; lecz wiecznie głodna pustynia pożera je w następnym roku i przerabia na popiół.

Odrobina roślinności, wygnanej na skały i piaski, trzymała się miejsc niższych, dokąd za pomocą rowów, przebitych w nasypie szosy, można było doprowadzać wodę z kanału. Jakoż między łysymi wzgórzami, w pobliżu szosy, piły rosę niebieską ukryte oazy, gdzie rósł jęczmień i pszenica, winny krzew, palmy i tamaryndusy.

W takich miejscach żyli i ludzie — pojedynczymi rodzinami, którzy, spotkawszy się na targu w Pi-Bailos, mogli nawet nie wiedzieć, że sąsiadują ze sobą na pustyni.

[...]

Zachodnią granicę Egiptu na długości przeszło sto mil geograficznych stanowi ściana pagórków wapiennych, nagich, poprzerrywanych wąwozami, wysokich na paręset metrów. Biegnie ona wzdłuż Nilu, od którego oddala się na milę, niekiedy na kilometr.

Gdyby kto wdrapał się na któryś z pagórków i zwrócił twarz ku północy, zobaczyłby jedno z najosobliwszych widowisk. W dole, na prawo, miałby wąską, ale zieloną łąkę, przetrziętą Nilem; zaś na lewo ujrzałby nieskończoną równinę barwy żółtej, urozmaiconą plamami białymi albo ceglastymi.

Jednostajność widoku, drażniąca żółtość piasku, upał, a nade wszystko — bezmiar nieskończony, oto najogólniejsze cechy Pustyni Libijskiej rozciągającej się na zachód od Egiptu.

Przy bliższym jednak rozejrzeniu się pustynia wydałaby się mniej jednostajną. Jej piasek nie układa się płasko, ale tworzy szeregi zwałów przypominających ogromne fale na wodzie. Jest to jakby rozkołysane morze, które zakrzepło.

Kto by jednak miał odwagę iść po tym morzu godzinę, dwie, niekiedy cały dzień, wciąż na zachód, zobaczyłby nowy widok. Na horyzoncie ukazują się wzgórza, niekiedy skały i urwiska najdziwniejszych form. Pod nogami piasek staje się coraz płytszym i poczyna wynurzać się spod niego skała wapienna niby ląd.

Istotnie jest to ląd, a nawet kraj, wśród piaszczystego morza. Obok wapiennych pagórków widać doliny, na nich koryta rzek i strumieni, dalej równinę, a wśród niej jezioro z powyginaną linią brzegów i dnem zakłęśniętym.

Ale na tych równinach i wzgórzach nie rośnie ani źdźbło trawy, w jeziorze nie ma kropli wody, korytem rzeki nie płynie nic. Jest to krajobraz nawet bardzo

urozmaicony pod względem form ziemi, ale krajobraz, z którego wszystka woda uciekła, najmniejsza wilgoć wyschła, krajobraz martwy, gdzie nie tylko wyginęła wszelka roślinność, ale nawet urodzajna warstwa gruntu roztała się w pył lub wsiąknęła w opokę.

W tych miejscach trafił się wypadek najokropniejszy, o jakim można pomyśleć: natura skonała, został z niej tylko szkielet i prochy, które do reszty rozkłada upał i z miejsca na miejsce przerzuca wiatr gorący.

Za tym zmarłym, a nie pochowanym łodem ciągnie się znowu morze piasku, na którym tu i owdzie widać spiczaste stożki, wznoszące się niekiedy na piętro wysokości. Każdy szczyt takiego pagórka kończy się pęczkiem listków szarych, zapyłonych, o których trudno powiedzieć, że żyją; one tylko nie mogą zwiędnąć.

Dziwaczny stożek oznacza, że w tym miejscu woda jeszcze nie wyschła, ale przed spiekotą skryła się pod ziemię i jako tako podtrzymuje wilgoć gruntu. Na to miejsce upadło nasienie tamaryndusu i z wielkim trudem poczęła wzrastać roślina.

Lecz władca pustyni, Tyfon, dostrzegł ją i z wolna począł zasypywać piaskiem. A im więcej roślinka pnie się w górę, tym wyżej podnosi się stożek duszącego ją piasku. Zabłąkany w pustyni tamaryndus wygląda jak topielec na próżno wyciągający dłonie do nieba.

I znowu rozwała się nieskończone żółte morze, ze swymi falami piasku i nie mogącymi skończyć rozbitkami świata roślinnego. Nagle ukazuje się skalista ściana, w niej szczeliny niby bramy...

Rzecz nie do uwierzenia! Poza jedną z tych bram widać rozległą dolinę barwy zielonej, mnóstwo palm, błękitne wody jeziora. Widać nawet pasące się owce, bydło i konie, między nimi uwijają się ludzie; z daleka na stokach skał piętrzy się całe miasteczko, a na szczytach bieleją mury świątyń.

Jest to oaza, niby wyspa wśród piaszczystego oceanu.

Takich oaz za czasów faraonów było bardzo wiele, może kilkadziesiąt. Tworzyły one łańcuch wysp pustynnych wzdłuż zachodniej granicy Egiptu. Leżały w odległości dziesięciu, piętnastu lub dwudziestu mil geograficznych od Nilu, a obejmowały po kilkanaście i kilkadziesiąt kilometrów kwadratowych powierzchni.

Opiewane przez arabskich poetów oazy naprawdę nigdy nie były przedsiódkami rajów. Ich jeziora są najczęściej bagnami; z podziemnych źródeł wypływa woda ciepła, niekiedy cuchnąca i obrzydliwie słona; roślinność ani mogła porównywać się z egipską. Niemniej ustronia te wydawały się cudem dla pustynnych wędrowców, którzy znajdowali w nich trochę zieloności dla oka tudzież odrobinę chłodu, wilgoci i daktyłów.